

# Drapieżcy

## Drapieżcy

### Rozdział I MAJ

Bielik dostrzegł szarego włóczęgę już z daleka. Zniżył nieco lot, by przyjrzeć się mu bliżej, lecz ten spiesznie zniknął między drzewami. Z obszaru pod wzgórzem pierzchnęły także spłoszone lisy. Jeden z nich poczuł już kiedyś szpony orła na swoim grzbiecie. Ledwo wówczas uszedł z życiem.

Powietrzny łowca zatoczył nad równiną koło i kilkoma płynnymi ruchami skrzydeł wzbił się do góry. Naturalnie widział łatwy łup. Ale rojące się w trawie polniki mogły zainteresować w trudniejszym dla zdobycia pokarmu czasie. Teraz szukał ofiar większych. Zwłaszcza, że w gnieździe wyczekiwały dwa młodociane dzioby. Wiecznie głodne i krzykliwe. Nie licząc dzioba samicy pilnującej młodych.

Pozwolił wstępującemu prądowi powietrza wynieść się wyżej, dzięki czemu obejmował wzrokiem niemal cały swój rewir. Przede wszystkim duże jezioro z przyległym stawem, łągi oraz daleko ciągnące się lasy. Głównie mieszany, bogaty starodrzew. Granicę sosnowego boru po zachodniej stronie okalały torfowiska. Nieco na północ, o kilka minut lotu od jeziora, mieszkali ludzie. Osada nie była duża. Za nią rozciągały się uprawne pola i łąki, na których wypasano bydło. Przede wszystkim krowy. Te orła nie interesowały. W przeciwieństwie do gęsi. Nieraz w ich stronę zerkał. Lecz skutecznie powstrzymywała go obecność człowieka. Zresztą, dosyć było dostępnego ptactwa nad jeziorem. I ryb, za którymi przepadał. Tylko wybierać.

Rześka bryza poranka unosiła go wciąż wyżej i wyżej. Szeroko rozpięte skrzydła ułatwiały płynny lot. Szybował właściwie bez wysiłku, jedynie jakby od niechcenia korygując lot sterówkami. Jego donośne, ostre i niskie w tonach wołanie wyraźnie obwieszczało zaniepokojonym w dole zwierzętom z kim wkrótce będą miały do czynienia. Słońce jaśniało, zmieniając kolor z pomarańczowego na złoty. Orzeł zamilkł. Ściągnął ku sobie skrzydła i zaczął systematycznie obniżać lot. Niebawem uwagę jego przykuła grupa żerujących w zatoce kaczek. Wyglądały na bardziej zaabsorbowane sobą; niżli nadciągającym niebezpieczeństwem. Zszedł jeszcze w dół, nad wodę, zachowując rozsądną odległość. Atak zamierzał przeprowadzić wzdłuż trzcin. I byłoby się uderzenie powiodło, gdyby nie hałas przestraszonej czapli. Tak ją przeraziło nagłe pojawienie się bielika, że startując wyrzuciła z siebie właśnie połknięty rybi drobiazg. Również orzeł przeoczył czatującą nieruchomo w trzcinach czaplę. Naturalnie wszystkie kaczki z wraskiem poderwały się do lotu. Nie ścigał ich.

Zniżając lot dostrzegł też, prócz kaczek, samotnego perkoza. Co prawda znacznie dalej od zatoki i za cypłem. Zmienił taktykę. Wzbił się nad las, by zaatakować do końca wykorzystując osłonę wierzchołków drzew. Manewr powiodł się. Perkoz w ostatniej chwili szukał ratunku w ucieczce pod wodę, lecz na próżno. Atakujący pewnym uchwytem poderwał ofiarę i począł nieść w stronę rodzinnego gniazda.

Gniazd bielik miał aż trzy. Pierwsze, w koronie buku, prędko porzucone. Już po wyprowadzeniu pierwszego lęgu. Niegdyś wytypowane drzewo nadmiernie się rozrosło, utrudniając dostęp do gniazda. Poza tym trochę nadto oddalone było od jeziora. Teraz, przemiennie latami, orzeł używał pozostałych gniazd. Nadbrzeżnego, w gęstwinie starych sosen oraz drugiego - między konarami dębu na wyspie. A właściwie wysepce, ledwo mieszczącej kilkanaście drzew. I zwłaszcza ta lokalizacja bielikom odpowiadała. Bez większego wysiłku mogły kontrolować spory obszar wód. Nic też nie

utrudniało swobodnego dostępu do gniazda, dzięki czemu i start był uproszczony. Wyrażna przewaga gniazdowania na wyspie skusiła bieliki i w tym roku. Do naprawy obszernego siedliska przystąpiły jeszcze z początkiem marca. Samiec przyniósł z łądu trochę grubszych gałęzi, domoszczono wewnątrz gniazda cieńszymi pędami, piórami oraz puchem. W kwietniu samica złożyła dwa jaja. Wysiadywali je na zmianę, choć ona częściej. Popielatobiałe pisklęta wykuły się po pięciu tygodniach. Od tego momentu pilnowała ich wyłącznie samica. A cały ciężar polowania spadł na bielika.

Wzmógł i ostry ton głosu młodych przypominał kwik. Widziały nieźle od dnia wykucia. W podnieceniu jeden następował na drugiego, gdy ojciec wreszcie wylądował obok gniazda. Pierwszy posiłek tego ranka. Samica bez zwłoki przystąpiła do rozdziału. Mocnym, hakowato u końca zagiętym dziobem zrzuciła pióra z piersi. perkoza i zdecydowanym uderzeniem wyrąbała płat mięsa ze skórą tuż przy mostku. Rozwarte dzioby głodomorów niecierpliwie tańczyły wokół jej głowy. Jeden dziób na moment się zamknął, co tylko wzmogło natarczywość drugiego. Wkrótce i jemu przypadł jakiś krwawy strzęp. Cudem zdołał połknąć, omal nie obrabowany z kęsa przez braciszka. Odepchnął napierającego. Tamten upadł na bok i dosyć prędko się podniósł, niezdarnie pomagając sobie słabymi jeszcze skrzydłami. Odzyskanie utraconej pozycji było w tej chwili najważniejsze. Dziób matki wędrował raczej przypadkowo. Apetyczne kawałki mięsa trafiały się po prostu temu, który stał najbliżej i którego dzióbek rozwierał się najszerzej. Rozszarpywana ofiara nie należała do największych. Bielik wiedział o tym. Zwrócił jednak trochę, nim wystartował na kolejne polowanie, gdyż obraz przepychanek malców sprawiał mu sporą przyjemność. Nie mniejszą od tej, jaką przeżył wówczas, gdy orlęta się wykluwały, mozolnie rozłukując zębami jajowymi skorupki od środka.

Z płataniny uschniętych gałęzi pod spodem dobiegł wyraźny szelest. Samiec przekrzywił głowę, fiksując nieco wzrokiem. Gniazdo zamieszkiwała nie tylko jego rodzina. Od pewnego czasu pół metra niżej kręciły się ruchliwe mazurki. I wyglądało na to, że wprowadziły się na stałe. Przy milczącej aprobacie lokatorów głównych. Konflikt między nimi nie istniał. A przeciwnie. Świadczyły sobie wzajemne usługi. Mazurki, przez bardzo bliskie sąsiedztwo, korzystały z ochrony orłów. Zaś bielikom przybyło zabezpieczenie alarmowe przed zakusami drapieżników łasicowatych. Zdarzył się już groźny rajd kuny leśnej. Gdy ledwo wyrosnięte orlęta poprzedniego lęgu zostały w gnieździe na krótki czas same.

Wreszcie birkut odbił się od gniazda i rozpostarł skrzydła wolnymi pociągnięciami nabierając wysokości. Niebawem jego uważnie szperający wzrok padł na przyjeziorny staw. I tym razem zapachniało mu rybą.

\* \* \*

Z trudem przydźwigał karpia do gniazda. Tak dużą zdobycz pisklęta widziały po raz pierwszy w swoim krótkim życiu. Po raz pierwszy również próbowały samodzielnie rozdziobywać ofiarę. A nie było to proste. Tym bardziej, że ryba jakiś czas jeszcze drgała, przytrzymywana pazurami samicy. Lecz obecnie po wczorajszym karpniu zostały tylko niewiele znaczące resztki. Bielik znów musiał ruszyć na polowanie. Lekki wiatr od Północy ułatwił start. Szeroko rozwijając skrzydła pierwotnie dał się nieść podmuchom, by po chwili zmienić kierunek i nabrać wysokości. Nieco dalej, za krawędzią jeziora, wykorzystał prąd wstępujący. Teraz szybowanie stało się jeszcze łatwiejsze. Wkrótce znalazł się tam, gdzie powinien. Czyli w punkcie pozwalającym ogarnąć wzrokiem cały rewir.

Uważnie przepatrywał ziemię i jezioro. Nawet z tej wysokości rozpoznawał najdrobniejsze szczegóły. Nie uszło jego uwadze żadne stworzenie, zwłaszcza będące w ruchu: kozioł sarny w przerzedzonej części lasu, kaczkę przepływającą zatokę, a także miniaturowy trzcinak zmierzający między oczeretami do gniazda.

Zataczając wielkie koła powoli zaczął schodzić coraz niżej. Trochę go zniosło ku północy, ale nie skorygował kierunku. Na torfowiskach przed sosnowym borem skakała para okazałych szaraków. Jeszcze nie zdążyły dojrzeć skrzydlatego łowcy, więc poczynają sobie całkiem beztrąsko. Przynajmniej z pozoru tak wyglądało. Dopiero będąc niżej ujrzał, co się dzieje w rzeczywistości. Widywał podobne scenki niejednokrotnie. Trwała zażarta walka gachów. Stojąc na tylnych nogach jeden drugiemu wyrwał pazurami pęki sierści i rozdzielał kopniaki. Biły się o samice w rui. Zajęte utarczką mogły się dać podejść. Bielik natychmiast wykorzystał sprzyjającą okoliczność. Opadł na ziemię, wyrównał lot i niemal muskając skrzydłami trawy ruszył w stronę zaciętrzewionej dwójki. Właściwie nigdy nie uderzał bezpośrednio z góry. Wyjątek stanowiły polowania na ryby.

Tuż przed atakiem wysunął do przodu stopy z chwytymi szponami. Nagłe pojawienie się oraz impet natarcia birkuta zupełnie zaskoczył szaraki. Stały w linii lotu i to ocaliło pierwszego. Bowiem pochwycony za kark zderzył się z drugim, dzięki czemu pazury ptaka, jeszcze nie do końca zwarte, wypuściły ofiarę. Oba gachy przekoziółkowały i sadząc ogromne susy sadyły w przeciwne strony. Bielik, straciwszy pierwotny rozpęd, ciężko wzbil się w powietrze. Uzyskawszy kontakt wzrokowy z uciekającymi zającami zdecydował się na zranionego. Był też znacznie bliżej. Niestety, również bliżej lasu, o czym przekonał się trochę za późno. Szarak po dokonaniu ostrego zwrotu zniknął między drzewami.

Nie pozostało nic innego, jak wrócić nad torfowisko. Lecz w międzyczasie i drugi zając gdzieś przepadł. Odskokić daleko nie mógł. Dookoła otwarta przestrzeń. Czyli ukrył się w turzycach lub trawie, licząc na to, że maskujące umaszczenie futra nie pozwoli zostać dostrzeżonym. Birkut znał te sztuczki. Doświadczenie podpowiadało mu, że szarak długo w kryjówece nie usiedzi. Trzeba jedynie trochę poczekać. Na miejsce czuwania wybrał pień uschniętej sosny. Przysiadł ogonem do lasu i cierpliwie lustrował torfowisko. Wreszcie stało się tak, jak przewidział. Może po kwadransie szarak, uspokoiwszy się nieobecnością drapieżcy i nie wytrzymując zgromadzonego napięcia, ruszył z miejsca. Orzeł rozpoczął pościg. Liczne zwody przeciągającej się ucieczki wyczerpały uciekiniera. Powoli tracił zwrotność. Kilkakrotnie prześladowca już otarł jego skórę. Ostatnim szusem rozpaczy usiłował umknąć w las. Lecz drapieżnik nie powtórzył wcześniejszego błędu, w porę odcinając drogę między drzewa. I w końcu umęczoną ofiarę pochwycił. Bardzo mocno zaciśnięte szpony obezwładniły wierzgającego zająca. Bielik przez pewien czas włókł ofiarę przy samej ziemi i właśnie się wzbijał, gdy raptem spomiędzy drzew wypadł wilk. Imponującym skokiem dosięgnął zająca od dołu i w trójkę wylądowali w trawie. Co prawda przerażonemu birkutowi udało się dosyć prędko rozewrzeć palce, lecz i tak znalazł się na grzbiecie.

Uderzenie potylicą o ziemię przejściowo zamroczyło ptaka. Szorując plecami stracił kilka barkowych piór. Serce jego tłuło się w oszalałym tempie. Jednak nim się otrząsnął i jako tako pozbiarał, niebezpieczeństwo minęło. Basior uszedł z szarakiem, nawet nie oglądając się na obrabowanego. Jeszcze nieco oszołomiony bielik poderwał się do lotu; by co rychlej opuścić torfowisko. W tej chwili pragnął tylko spokoju i odosobnienia. Znalazł je między sosnami, w gnieździe nadbrzeżnym. Gniazdo rezerwowe odwiedzał rzadko. Czasem zatrzymywał się tu, by odpocząć w trakcie polowań. Lub w ciszy posilić się jakimś niedaleko pozyskanym kąskiem. Teraz przysiadł, aby uporządkować sponiewierane pióra. Ucierpiały zwłaszcza podbarkówki oraz lotki przedramienia. Wciąż był wzburzony, ale i echo minionego zatrwożenia nadal w nim krążyło. Powoli dochodził do siebie. Wreszcie pióra zostały ułożone, równowaga wewnętrzna wróciła.

Kołował chwilę nad lasem, systematycznie nabierając wysokości. Wiatr z północnego zmienił się na północnowschodni. Kłębiaste chmury gęstniały. Słońce ledwo prześwietlało ich warstwę. Miejscami jeszcze pojedynczy silniejszy promień omiótł wierzchołki drzew, ale marsz chmur nie ustawał i wkrótce wszystko tonęło w szarości. Na skraju oczeretów, przy zachodnim cyplu zatoki żerowały gęgawy. Dostrzegł je, lecz sam również został zauważony. Gęsi przezornie wsunęły się w głąb trzcin,

gdzie drapieźnik dosięgnąć żadnej nie mógł. Natomiast za drugim pasmem trzciny pływały krzyżówki. Bielik zszedł nad wodę, wykorzystując osłonę cypla. Tu ponownie nabral sporej prędkości, przeskoczył cypel i wpadł pomiędzy kaczki. Dobrze przeprowadzony atak powiódł się. Wprawdzie spłoszone stadko zdążyło wystartować, ale uwięził w szponach drapieźcy ostatni spośród uciekających kaczorów. Zagarnięty już w powietrzu. Rwetes kaczek wypełnił całą zatokę, płosząc żerujące w pobliżu cyranki i perkozy.

Łowca poniósł zdobycz prosto do gniazda. Zielona połyskująca głowa kaczora kołysała się bezwładnie w takt uderzeń skrzydeł. Podniecone tym widokiem maluchy przekrzykiwały jeden drugiego. Gdy wreszcie łup wylądował w gnieździe, zamieszanie zwiększyło się. Birkut wypoczywał jakiś czas na gałęzi obok. Rodzina miała pokarm, mógł zająć się sobą. I on przecież od rana nic nie jadł. A lecąc ku wyspie dostrzegł niesioną falami jeziora martwą mewę. Teraz postanowił tam wrócić.

\* \* \*

Odbił się i zeskoczył z gałęzi. Przypowierzchniowy podmuch wiatru zniósł go przed wyspę. Poddał się temu, wykorzystując okrażenie drzew do nabrania wysokości. Wreszcie miarowo uderzające skrzydła uniosły bielika nad gniazdo. Pokazał swoim maluchom biały ogon, palczasto rozstawione lotki przeciwległych końców skrzydeł i płynnym ślizgiem, częściowo pod wiatr, wzbił się do góry. Niebo ciemniało. Wiedział, że niebawem zacznie hulać burza. Ale chciał jeszcze podjąć wcześniej wypatrzoną mewę. Warto było spróbować. Choćby dlatego, iż przeczuwał trwalszą zmianę pogody. A każde takie załamanie częściowo utrudniało dostępność pokarmu. I kto wie, kiedy będzie mógł cokolwiek pozyskać do jedzenia.

Mewa zniknęła. Również biorąc poprawkę na dryf, nie dostrzegł jej w pobliżu. Dla pewności wzbił się trochę wyżej, gdzie natychmiast obmyły go zimniejsze prądy powietrza. Górą wiało od północy. Podmuch przyniósł zapach morskiej soli. Birkut chłonął tę woń z przyjemnością. Przypominała młodość, którą spędził na tułaczce wzdłuż brzegów morza. Nad jeziorem osiedlił się dopiero w szóstym roku życia, gdy zrzucił ziemistobrązowe upierzenie. Wtedy to zniknęły z piersi oraz grzbietu białe plamy, głowa i szyja stały się nieco jaśniejsze, zaś ciemny dotąd dziób zżółkł, podobnie zresztą jak i nogi. Upierzenie ptaka dojrzałego pobieliło także sterówki ogona. I w tym to właśnie czasie poznał samicę, z którą wyprowadzili cztery lęgi. Obecny był piątym. Niestety żaden z wcześniej odchowanych młodziaków nie dożył nawet dwunastu miesięcy. Pierwszy wypadł z gniazda j rozszarpały go kuny. Drugi nie przetrzymał ostrzejszej zimy. Trzeci zginął po zderzeniu z linią wysokiego napięcia, a czwarty - żyjący najdłużej - zaplątał się w rybackich sieciach.

Bielik w końcu martwą mewę wypatrzył. Fale zniosły ją prawie na środek jeziora. Dogonienie jej było proste. Nie wymagało pokonywania oporu wiatru. Zszedł nad wodę i zwyczajnie dał się zepchnąć, jedynie korygując kurs nadgarstkami skrzydeł. Podjął mewę wówczas, gdy wyniesiona została przez wodę na szczyt fali. Dokładne liczenie momentu chwytu miało ten sens, że różnica wysokości między Wierzchołkiem fali a bruzdą sięgała prawie metra. Źle wymierzone podejście mogło zakończyć się kąpielą. I choć sama kąpiel niczym nie groziła, przy obecnym stanie jeziora start jednak byłby raczej kłopotliwy. Nim zawrócił, zniosło go kolejne metry. Należało odzyskać utracony odcinek. Tymczasem moc wiatru zmieniała się z minuty na minutę. O ile jeszcze przed chwilą dwa lub trzy uderzenia skrzydłami równoważyły znos i powoli parł ku wyspie, o tyle teraz miał trudności z utrzymaniem się w miejscu. Porywy targały nim lub wręcz wywracały na bok. Rosło zmęczenie w mięśniach piersiowych. Nie nawykł do podobnego wysiłku. I gdyby nie obawa o pozostawioną w gnieździe rodzinę, zwłaszcza pisklęta, byłby z walki zrezygnował. Ostatecznie przeczekać wicher mógł wszędzie.

Nawałnicę wspomogła ulewa. Bezlitośnie smagające strugi obmywały naprężoną pierś, utrudniały też

oddech. Szczęściem, od czasu do czasu impet wichru malał między kolejnymi zrywami. To pozwalało przybliżyć się do gniazda. Sprzyjały temu również lokalne zawirowania. Dojmujący ból nadmiernego wysiłku przeszywał ciało na wskroś. Porzuconą mewę już dawno wchłonęły spienione fale. Za bardzo zwiększała opór, utrudniając lot. Wreszcie dotarł za osłonę wyspy, wzbił się i przysiadł na pierwszej dostępnej gałęzi drzewa. Resztę drogi w pobliże gniazda przebył pieszko, krok po kroku. Lądowanie z powietrza niosło zbyt wielkie ryzyko.

Bolesne zmęczenie powoli ustępowało. Bielik, wyrównawszy oddech, ze zdziwieniem rozglądał się dookoła. Owszem, nadmorskie sztormy nie jeden raz w przeszłości porządnie przetrzepały mu pióra. Lecz aż tak gwałtownej burzy dotąd nie przeżył. Dąb huśtał się, wstrząsany porywami. Jednak wplecione w szczytowe rozwidlenie konarów gniazdo trzymało się mocno. Strwożonym pisklętom otuchy dodawała samica. Obrócona dziobem pod wiatr przywarła do wgłębienia. Każde z maluchów krył okap matczynego skrzydła i nic w tej sytuacji grozić im nie powinno.

Po dwóch godzinach burza jeszcze przybrała na sile. Mrok nisko zwieszonych chmur zgęstniał. Z furią atakowane jezioro kipiało wysokimi falami, których wierzchołki na strzępy rozrywał szalejący wichur. Kierunek wiatru znaczyły bielejące pasma piany, a wszystko to ginęło w nieustających bryzgach wodnej kurzawy.

Późnym wieczorem nawałnica jakby zakrzuszyła się swoją mocą. Wichur nieco zelżał. Centrum burzy wypchnęło na wschód. Lecz nadal siekły deszcze, zaś podtopioną wyspę wciąż wypłukiwała kipiela. Systematyczny szturm wód obnażył korzenie drzew od nawietrznej strony. Niektóre wkrótce mogły runąć. Dorosłe bieliki znosiły niesprzyjającą pogodę na ogół dobrze. Gorzej było z maluchami. Ich upierzenie dopiero się wykształcało. Puch słabo chronił przed wilgocią. Tym bardziej podszytą chłodnym wiatrem. Pisklętom więc, mimo troskliwej osłony skrzydeł matki, począł zagrażać ziąb. Zwłaszcza od spodu, gdyż wściekle porywy w rezultacie jednak naruszyły konstrukcję gniazda. Może nie na tyle, by miało się rozsypać, lecz wystarczająco dla zwiększenia swobody hulających w szczelinach podmuchów.

Złe nocne godziny ciągnęły się w nieskończoność. Miniona burza nadal omiatała jezioro mokrym ogonem. Ptaki z nadzieją spoglądały na wschód, wypatrując oznak świtu.

**Lech M. Jakób**

W 1998 roku „Dziki Życie” drukowało wilczy wątek powieści Lecha Jakóba „Drapieżcy”. W tym numerze rozpoczynamy publikację wątku orła bielika. Pretekstem do fabularnego opisanego fragmentu losów trzech drapieżników była notatka prasowa informująca o znalezieniu w jednym miejscu martwych ciał wilka, orła i szczupaka. Ciąg dalszy w kolejnych numerach.